Rok V. Kraków, 15 Września 1897. **Nr. 17.**



PISMO LUDOWE.

Przedpłata na ***Nowy Dzwonek*** wynosi w **Galicyi**:
rocznie: **3** złr.
półrocznie: **1** złr. **50** ct.
Kwartalnej przedpłaty *nie przyjmuje się.*

W Niemczech rocznie: **6** mk. — półrocznie: **3** mk.
W Ameryce rocznie: **1½** dolara.
Adres do przesyłania przedpłaty: ***Redakcya Nowego Dzwonka,*** w **Krakowie**, ul. Basztowa l. 4.

Wychodzi raz w miesiącu — około dnia **1**-go.

Wydawca i redaktor: ***Ks. Marceli Dziurzyński.***

Słowo do naszych Czytelników!

Zapowiedzieliśmy w poprzednim, 16-tym numerze, że numer następny (17-ty), czyli numer niniejszy będzie podwójnym — i tak jest w istocie, bo numer ten ma dwa arkusze druku w objętości. Nie nazywamy go atoli podwójnym, gdyż odtąd każdy następny numer, już jako zwyczajny numer, będzie podwójnym, czyli, że będzie miał dwa arkusze druku — ale *Nowy Dzwonek* wychodzić będzie **odtąd i na przyszłość** nie dwa razy, lecz **tylko raz w miesiącu** — około dnia **1**-go. Wyjątkowo numer najbliższy (18-ty) nie wyjdzie 1-go października, lecz koło **5**-go lub **6**-go października.

Z tych bowiem 300 dłużników, o których wspominaliśmy w poprzednich numerach, zapłaciło zaległą prenumeratę coś około 50-ciu, ale reszta, tj. blisko 250, jeszcze się nie poczuwa do obowiązku zapłacenia, i ci właśnie wyrządzili nam wielką krzywdę. Niech im Bóg za to zapłaci! — ale niech pamiętają, że krzywda nikogo nie bogaci!

Mając jak najlepsze chęci pracowania dla oświaty ludu, próbowaliśmy kilka razy w ciągu 5cio-letniego wydawnictwa *Nowego Dzwonka*, wydawać to pismo dwa razy w miesiącu; — pokazało się jednak, że to dla nas, co znikąd pomocy nie mamy, niemożliwe, zwłaszcza, że sami niektórzy czytelnicy nas krzywdzą.

Wobec tego musimy się ograniczyć na wydawanie naszego pisma tylko raz w miesiącu. Takie to u nas stosunki!

Jakkolwiek wydawać będziemy odtąd i na przyszłość *Nowy Dzwonek* nie dwa razy, ale tylko raz w miesiącu — mimo to prenumeraty w tym roku zniżyć nie możemy — ale, da Bóg doczekać do Nowego Roku, to ją na rok przyszły zniżymy.

Co się tyczy „**Kalendarza**“, który przyobiecaliśmy wydać na rok przyszły (1898) jako premię *bezpłatną* dla tych, którzy na rok 1898 złożą z góry za *Nowy Dzwonek* całoroczną prenumeratę — to „*Kalendarz*“ ten wydamy, i może już w grudniu tego roku, lub w styczniu przyszłego roku zaczniemy go rozsyłać

W końcu odzywamy się po raz więcej niż setny do serc zatwardziałych dłużników, naturalnie jeżeli ci mają jakie takie sumienie, aby za gazetkę zapłacili, i to wnet, bo inaczej zmuszą nas do tego, dla nas i dla nich nieprzyjemnego kroku, że będziemy musieli sprawę tę oddać adwokatowi i sądowi.

Za granicą, to lud tamtejszy, ile tylko może, tak popiera i wspomaga pisma katolickie, a u nas aż w ten sposób, jak wyżej, upominać się trzeba o należność za pismo. Dla takiego ludu pracować, to istotnie trzeba poświęcenia się wielkiego.

My pracujemy prawdziwie w pocie czoła — zdrowie tracimy, a niejeden, co czyta pismo nasze, ani pomyśli o tem — i to taka nagroda za pracę dla Ojczyzny i Kościoła i dla dobra ludu! — Inaczej, stokroć inaczej oceniają taką pracę inne narody! Tam nietylko prenumeratą, uiszczaną regularnie i z góry, w swoim czasie, ale nadto i osobnymi naddatkami na fundusz dla pisma wspomagają redaktora, a u nas są tacy, co dziesiątki i setki tysięcy reńskich dochodu mają na rok, ale pismo uczciwe wspomódz, podać mu rękę, — to na to ich nie stać.

Istotnie, pracować u nas na polu oświaty ludowej, to rzecz najniewdzięczniejsza — a jednak my w tej pracy, dopóki nam jakie takie zdrowie posłuży, nie ustaniemy, tylko prosimy o popieranie naszego pisma, o płacenie zań na czas i regularnie i o rozszerzanie go między znajomymi!

Dawne ustawy przeciw żydom w Polsce.

Powszechnie mówią i piszą, że żydzi przybyli do Polski dopiero za czasów króla Kazimierza Wielkiego. Tak jednak nie jest, bo żydzi już daleko wcześniej do Polski się wkręcili, ale ukradkowo i w małej liczbie, a za czasów Kazimierza Wielkiego przybyli w większej liczbie i zyskali niektóre przywileje.

Historya naucza, że już około roku 1096, gdy królem w Polsce był Władysław Herman, przybyli żydzi z Niemiec i Czech do Polski, uciekając przed Chrztem św., do którego ich w owych krajach zmuszano.

W kraju naszym znaleźli żydzi życzliwe przyjęcie, nawet może za życzliwe, skoro według starych kronik, Mieczysław

Stary, książę wielkopolski, kazał karać uczniów szkolnych za pokrzywdzenie żyda*).

Bolesław zwany Pobożnym, książę wielkopolski, w połowie trzynastego wieku nadał żydom znaczne przywileje. Kazimierz Wielki te przywileje potwierdził i nowych udzielił.

Jak widzimy, królowie i książęta polscy byli dla żydów zbyt życzliwymi, nie tak atoli zapatrywali się na żydów Biskupi i księża. Ci widzieli, jaki to naród niebezpieczny, i jakie szkody może przynieść społeczeństwu polskiemu, dlatego starali się, aby chrześcijan uchronić przed plagą żydowską.

W tym celu synody czyli sejmy Duchowieństwa w trzynastym wieku wydawały różne rozporządzenia.

I tak: synod *wrocławski*, w roku 1266, zwołany przez kardynała Gwidona, orzekł i polecił, aby żydzi nie mieszkali razem z chrześcijanami, lecz aby osobno sobie budowali domy w oddzielnych miejscach, bądź w mieście, bądź na wsi, i takowe od mieszkań chrześcijańskich odgradzali murem, płotem, lub rowem.

Nad wykonaniem tego polecenia miał czuwać Biskup dyecezalny, albo też dziedzic owego miejsca, a żydzi, mający domy między chrześcijanami, musieli je teraz albo sprzedać, albo zrobić zamianę.

Ten sam synod uchwalił, aby skoro Przenajświętszy Sakrament niesionym będzie około domu żydowskiego, to naówczas żydzi natychmiast za usłyszeniem dzwonka, udawać się powinni do wnętrza swych domów i okna i drzwi pozamykać.

Skoro zaś domy żydowskie od chrześcijańskich odłączone zostaną, to naówczas żydzi, mieszkający tak po miastach jak i po wsiach, jednę tylko synagogę mieć mogą.

Od tego czasu, poczęły powstawać po miastach i po miasteczkach osobne dzielnice, zamieszkałe tylko przez żydów, a stąd jedna część miasta zwała się chrześcijańską, a druga żydowską.

Z ustaw wspomnianego synodu pokazuje się także, że żydzi po przybyciu do Polski nosili rogate czapki, a potem tego zaniechali. Otóż synod wrocławski polecił im, aby do tego dawnego zwyczaju wrócili, a to dlatego, by się różnili ubiorem od chrześcijan. Żyd, któryby tego nie uskutecznił, miał zapłacić karę pieniężną.

---

*) Kronika Kadłubka, księga 4.

Nadto jeszcze obowiązani byli żydzi dawać opłatę tym Proboszczom, w których parafiach mieszkali, za to, iż zajmowali te miejsca, w którychby chrześcijanie swe domy budować mogli. Wysokość takowej opłaty zależała od Biskupa.

Niewolno było żydom uczęszczać do jednej łaźni z chrześcijanami, ani *sług chrześcijańskich trzymać, ani piastować urzędów publicznych.*

Synod *gnieźnieński*, w roku 1285 odbyty przez Arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakóba Świnkę, postanowił, iż żydzi, u których znalezione zostały rzeczy skradzione, obowiązani byli zwrócić takowe bez żadnego wynagrodzenia.

Podobne ustawy były w owym czasie i na Węgrzech. Synod odbyty w roku 1279 w Budzie, polecił żydom, aby dla odróżnienia od chrześcijan, nosili zawsze na lewym boku zwierzchniej sukni kółko czerwone wyszyte, jak tylko z domu na ulicę wychodzą.

Sześć wieków już upłynęło, jak te ustawy przeciw żydom wydano, a pokazuje się z nich, że Duchowieństwo katolickie zawsze broniło ludu przed żydami, bo znało ich naturę przebiegłą, dążącą do wyzyskiwania chrześcijan.

Dziś czasy inne, czasy postępu (?), wolności, stąd żydzi się rozpanoszyli, i biorą górę nad chrześcijanami. O gdyby to wróciły dawne czasy ze swemi ustawami przeciw żydom, tobyśmy może nie potrzebowali ich się obawiać, ani bronić się przed nimi!

W sprawie żydowskiej nie postępu nam potrzeba, ale głównie powrotu do dawnych czasów i ich ustaw przeciwżydowskich!

Ostatnie chwile życia i śmierć Władysława Łokietka. *)

(Wspomnienie historyczne.)

W wielkiej, sklepionej sali krakowskiego zamku, na dole, mrok wieczorny już się rozpościerał, cisza głęboka panowała w obszernej izbie.

W kościele św. Wacława na zamku dzwoniono żałobnie na wieczorną modlitwę.

W jednym rogu sali na szerokiem łożu, skórami i suknami okrytem, widać było twarz wybladłą, z oczyma zamkniętemi, jakby uśpionego człowieka lat podeszłych.

---

*) Władysław Łokietek, król polski, umarł w r. 1333.

Na łożu tem wyczekiwał śmierci i wyzwolenia król, co przeszło pół wieku walczył dla połączenia w jedno rozszarpanego dziedzictwa Mieszka i Chrobrego, Władysław, zwany Łokietkiem, mąż wielki małego ciała, a potężnej ducha siły.

Czuł on sam, widzieli wszyscy obecni przybliżającą się ostatnią godzinę.

Zakonnik, stojący w nogach łoża, pobożny Dominikanin Heliasz, już był przejednał króla z Bogiem. Władysław dnia tego wolę swą objawił mężom dostojnym, ojczycom królestwa swego, i pożegnał wszystkich: rozstał się z żoną, pobłogosławił syna *), któremu Polskę oddawał, ziemianom zleciwszy jedyne dziecię.

Lekarz, kanonik Wacław, przepowiadał zgon bliski; królowa Jadwiga, płacząc, powtarzała modlitwy za konających, lecz śmierć nie przychodziła jeszcze... Łokietek chwilowo powracał do życia.

Stojący nad chorym lekarz dał zlekka znak, aby mu spoczynku nie przerywano i sam począł na palcach odchodzić. Cofnęli się też, ujrzawszy to, ksiądz Heliasz i królowa pocichu, powolnie, ku drzwiom.

Król usypiał.

Wszyscy, po dniu tym wzruszeń pełnym, zapragnęli usunąć się do bocznej komnaty i tam czekać przebudzenia, gdyż jeszcze się go spodziewano.

Zwolna wysunęli się wszyscy ku drzwiom bocznym, których zasłonę królowa podnieść kazała, aby być na najmniejszy szelest gotową. Jeden syn pozostał przy ojcu pochylony, nieruchomy. Łzy kręciły mu się w oczach...

Król żył: piersi poruszały się prawie łagodnie, starzec oddychał.

Kazimierz pochylił się do ojca, którego głowa zwróciła się ku ukochanemu dziecięciu.

Oddech piersi stał się głośniejszym i głuchy dobył się z nich głos:

— Kazimierz!...

— Jam jest — odparł syn cicho.

— Wody!... usta spieczone!... — dodał, chcąc dobyć napróżno osłabłą z pod przykrycia rękę.

Kazimierz pospieszył z kubkiem rzeźwiącego napoju, stojącym tuż przy łożu, i ostrożnie nachylił go do ust ojca, wlewając w nie płyn po kropli.

---

*) Synem tym był późniejszy król polski, Kazimierz Wielki.

Usta się rozwarły nieco, trochę życia wstąpiło w twarz, której oczy nabrały blasku.

Uśmiechnął się Łokietek.

— Noc? — zapytał cicho.

— Wieczór późny.

Król oczyma potoczył po komnacie, jakby się chciał przekonać, czy byli sami.

Chwilę trwało milczenie, pierś pracowała, aby się zdobyć na głos ostatni.

— Koronę — rzekł silniej — koronę niech ci nie zwlekając włożą, niech namaszczą... Bóg z nią daje moc. A potrzeba jej, aby utrzymać wszystko w jednej dłoni: Polskę całą, Kujawy, Mazowsze, Pomorze... Pomorza nie ustąpić nigdy!... Tamtędy droga w świat, jedyna wolna, wkoło wrogi, bez niego więzienie...

Mówiąc to, przymknął powieki, ale natychmiast podniosły się znowu i usta dalej szeptały dla syna tylko dosłyszanym szmerem:

— Znajdziesz ludzi dobrej rady: Jaśko z Melsztyna, mąż prawy, Trepka wierny... Ziemianie, szczyty, rycerstwo dobre, dobre, ale nie oni jedni... Jest ubogi lud, jest biedny chłop... to także ojczyce nasi... Pamiętaj!... Ja, pomnę, gdym z błogosławieństwem miłościwego lata powrócił z tułactwa sam, sam jeden jak palec, nie miałem wówczas nikogo. Ziemianie nie chcieli mnie, zamiast rycerstwa szli ze mną chłopki z siekierami Polskę budować... Szli i bili się... Chłopkom wdzięcznym być!...

Spojrzał na syna.

— *O chłopkach pamiętaj!...*

Kazimierz skłonił głowę.

— *Tarczą im bądź i opieką* — szeptał król cicho — *sędzią im bądź sprawiedliwym, obrońcą, oni mnie obronili...*

Wtem głos coraz cichszy i słabszy szeptem niezrozumiałym utonął w piersi i była znowu chwila milczenia.

Z bocznej izby na palcach podszedł ksiądz Wacław, nadsłuchując ostrożnie. Stanął zdziwiony, pochwyciwszy szeptanie, ręką sięgnął po kubek i przyłożył go do ust króla. Chory wnet poczuł obcego, zamilkł, ściągnąwszy wargi, ale napój połknął chciwie.

Ksiądz Wacław zatrzymał się chwilę, zrozumiał, że ojciec chciał sam na sam z synem pozostać, usunął się powoli.

Wpół podniesione powieki śledziły ruch jego i nie otwarły się, aż zniknął.

— Z Krzyżowcami — rzekł — nigdy pokoju... Przeciwko nim przymierze i pokój choć z pogany!... — mówił niezrozumiale, głos drżał. — O! nigdy zgody z nimi!... Kruki czarne, wilki żarłoczne, wrogi wiekuiste... Z Pomorza ich wygnać potrzeba precz, lub oni tę koronę prędzej czy później żelaznym klinem rozsadzą. O! z nimi nigdy pokoju... Z pogany się jednać lepiej, Litwie dać rękę, Ruś zagarnąć...

Spoczął nieco i dodał:

— Krwi się tam dużo poleje... będzie strumieniami ciekła... jak pod Płowcami...

Marszczki na czole króla wygładziły się, pogoda zwycięstwa opromieniła je na chwilę.

— Płowce! — powtórzył — Płowce!... Drugie Płowce przyjdą nieprędko, ale ja widzę je, widzę... Stosy chorągwi ich po ziemi się tarzają i trupów stosy w posoce.

Kazimierz, klęczący przy łożu, aby mógł słyszeć lepiej, przychylił się tuż ku ustom ojcowskim.

Od przepowiedni tej serce mu zadrgało żywiej. Łokietek smutnie się uśmiechał.

— Nie ty ich poskromisz — dodał — nie, tobie nie dano... Ty gdzieindziej musisz szukać zwycięstwa.

— Ojcze mój — odezwał się Kazimierz, gdy stary zamilkł nieco — ojcze mój, ja nie mam miecza twojego, ani dłoni twej...

— Da ci je Bóg, gdy będzie potrzeba — przemówił król — nie miecz wojuje, ani ludzka dłoń, ale wola i opieka Boża. Spełni się wszystko, jak On postanowił. Ty, ty kleić i spajać musisz, co rozerwały wieki — żelazną wiązać obręczą... miłością ożenić, prawem zjednać...

Ostatnie słowa wyrzekł gorąco, i znużony, nagle mówić poprzestał. Zdala ujrzał stojącą z głową zwieszoną królowę.

Wpatrzył się w jej postać smutną i wejrzeniem żegnali się długo.

Jadwiga stała chwilę. Milczeniem króla odprawiona, odeszła. On mowę odzyskiwał tylko dla syna.

— Bóg z tobą! — rzekł — On dla mnie czynił cuda, On przezemnie słabego i małego stworzył znów królestwo, które do potęgi wielkiej urośnie... Bóg wielki tworzy z niczego i przez małych.

Po krótkiem milczeniu szepnął cicho:

— Błogosławię!...

Głos zamierać się zdawał, oczy się przymykały. Wtem

wpośród ciszy szelest dał się słyszeć, najprzód niewyraźny, stłumione mowy kilku ludzi, sprzeczkę jakąś u progów.

Łokietek oczy otworzył niespokojnie, królewicz powstał. Niepojętem to było, by w ostatniej godzinie pokoju pana umierającego nie poszanowano.

Naostatek błagające, płaczliwe doleciały go wyrazy:

— Puśćcie mnie, puśćcie mnie, jam najstarszy jego sługa...

Poruszył się Łokietek niespokojnie i oczy jego dały znak synowi, aby drzwi nie zamykano proszącemu.

Nim Kazimierz miał czas spełnić rozkaz ojcowski, zwolna odchyliły się podwoje i w nich dziwna ukazała się postać.

Był to starzec zgarbiony, z długą za pas zrzedłą brodą siwą i czaszką wyłysiałą, na której lśniącej skórze mnogie szramy widać było. Zgrzybiały człek nie mógł już iść o swej sile; dwóch chłopaków, ubogo odzianych, na których ramionach się opierał, wiodło go pod ręce.

— Król mój!... pan mój!... — wołał głosem drżącym — puszczajcie mnie do niego... niech pożegnam pana mego!

Z ust Łokietka wyrwało się:

— Jarosz... Jarosz... pójdź tu do mnie, stary!

Potoczył się powołany do łoża, cały drżąc z radości, i dopadłszy do nóg króla, płacząc, ściskać je począł.

— Król mój!... pan mój!... a mnie do ojca mego puścić nie chcieli — wołał. — A myśmy razem dziećmi biegali, a jam z nim był i w bojach, i na tułactwie, i w Rzymie, i po jaskiniach, i na pobojowiskach, i na noclegach, i w niewoli i wszędzie...

Królowi oczy drżały i pod osłoną poruszał rękoma, których dobyć nie miał siły.

— Ty idziesz — mówił płaczliwie Jarosz, klęknąwszy u łoża — weźmijże mnie z sobą, życie już cięży... Weźmij mnie z sobą, jakeś brał dawniej...

Z drugiej komnaty wybiegli wszyscy i ksiądz Wacław pierwszy chciał odciągnąć starego sługę, lecz król dał znak, aby Jarosz pozostał u nóg jego.

— Kiedy tobie, panie mój, Bóg zesłał wyzwolenia godzinę, może i mnie w miłosierdziu Swem zabierze z tobą. Jabym się u stóp twych położył, jako legałem po lasach, gdyśmy sami byli, biedni, głodni, a ścigani...

Twarz królewska ożywiła się temi wspomnieniami, nie mówił, ale się na niej rysowało rozrzewnienie pogodne.

Kończył Jarosz, gdy król dobył głosu z piersi:

— Ojcze Heliaszu! — zawołał — Heliasz...

Ksiądz przysunął się do samego łoża, krzyż podnosząc w ręku.

Kazimierz usunął się nieco, Jarosz milczał i modlił się.

Wśród ciszy zabrzmiała uroczysta kapłana modlitwa. Była to ta ostatnia, którą żywi przeprowadzają duszę ku lepszym ulatującą światom.

Oddech umierającego stał się nagle żywszym i cięższym, pot występował na czoło. Śmierć, która się oddalać zdawała, wracała po swoją ofiarę.

Z drugiej strony łoża stojący kanonik Wacław wejrzeniem i ruchami dawał poznać, iż stanowcza nadeszła chwila.

Królowa klęczała przy mężu, tuż obok starego Jarosza.

Głos kapłana coraz wyraźniej, coraz mocniej podnosząc się, aby stępiałego już doszedł ucha, rozbrzmiewał po całej sali.

Oczekujący w sąsiednich komnatach usłyszawszy go, zjawili się na progu gromadnie. Oko ich na przemiany to szukało łoża, na którem spoczywał umierający. to pochylonej młodego królewicza głowy.

Niespokojni szeptali pocichu. Jarosz, opadłszy ku ziemi, z głową na piersi zwieszoną, bezsilny, zdawał się razem z królem swym dogorywać.

Kapłan w głos już, z zapałem odmawiał resztę modlitwy.

Poklękli wszyscy. Królowa twarz spłakaną zanurzyła w pościeli i łkała z bólu.

Raz jeszcze podniosła się twarz starca, powieki odsłoniły oczy zbladłe i westchnął ciężko.

Westchnienie to odbiło się w piersi Jarosza, którego chłopcy utrzymać nie mogli, tak, że potoczył się na ziemię.

Lekki okrzyk stłumiony wyrwał się z ust królowej.

* * *

Zrana już na łożu w tej samej sali spoczywały Łokietka zwłoki, przyodziane do grobu, w hełmie z koroną, pasem objęte, z mieczem wiernym u boku, z berłem w dłoni, w śpiczastem obuwiu ze złoconemi ostrogami, z twarzą wypogodzoną, jaką mu dał zgon.

Podwórza zalegały ciche tłumy. Smutek był na twarzach wszystkich.

W przedsieni, na marcowego wiatru zimnym przewiewie, nie czując go, poopierani o słupy, nieruchomi, jak posągi, stali u wnijścia Trepka Jerzy, który królewiczowi towarzyszył nieodstępnie w latach ostatnich, poważny Jaśko z Melsztyna, którego król synowi do rady naznaczył, Mikołaj Wierzynek, rajca krakowski, starego i młodego pana ulubiony sługa, Kochan Rawa, powierny dworzanin Kazimierza, i Suchywilk, kapłan, siostrzeniec arcybiskupi.

Kochan Rawa, którego wszyscy znali najbliższym królewicza, choć się powinien był radować z tego, iż pan, którego był ulubieńcem, miał włożyć koronę, posępny stał i smutny.

W bystrych oczach jego czytać było można, iż sprawcą mógł być lepszym, niż doradcą. Marszczyło mu się białe czoło od ciężkich myśli. Ręką ująwszy się w bok, a razem rękojeść miecza ściskając, drugą to czoło pocierał, to wąs targał i brodę.

Zbliżył się doń Trepka, wyglądający poważnie a rycersko.

— Nie pójdziecie zajrzeć — spytał — co się z młodym panem dzieje?

— Byłem tam — odparł krótko Kochan — spoczynku mu potrzeba. Sam pozostał... Królowa stara modli się, młoda krząta się niespokojna. Jam go zamknął od nich, bo siły pokrzepić trzeba. Teraz ich dużo mieć musi.

Zbliżył się do rozmawiających Wierzynek.

— Straciliśmy ojca! — jęknął smutnie.

Nie odpowiadali mu długo.

— Ktoby tego pana nie żałował — podchodząc począł spokojnie Suchywilk, którego twarz rozumna we wszystkich uszanowanie wzbudzała. — Strata to niepowetowana, aleć Bóg opatrzny dał nam godnego z lędźwi jego następcę. Ten podejmie i dokona, co tamten rozpoczął. Nie trapmy się zbytnio. Czas było znużonemu spocząć i pójść po zasłużoną nagrodę. Któryż z królów tak długo i skutecznie dla tej korony pracował? Starzy tylko pomną początki, my z ich ust o nich wiemy... Z niczego on stworzył koronę tę na kawałki rozbitą, a pomyślcie, z jakimi o nią walczył mocarzami!... Z liczbą, z przewagą, ze złotem, ze złością, ze sprzymierzonymi, sam, nie mając nic nad łaskę Pańską! Cuda przezeń czynił Bóg!...

— Tak! — potwierdził, głową skłaniając, Jaśko z Melsztyna — a tem trudniejsze zostawił dziecku dzieło na wpół dokonane, gdy pamięć trwa, ile uczynił, i nadzieja z nią, ile

dopełnić syn musi. Ani się dziwować, iż królewicz po ojcu tak boleje i pod brzemieniem się ugina — wielkie ono.

— Każdy dzień ludzki ma troskę swą — odrzekł Suchywilk — lecz na ciężkie godziny z pomocą Opatrzność spieszy.

Spoglądali po sobie smutni.

— My wszyscy też winniśmy młodemu tak służyć, jakeśmy starego miłowali.

Podniosły się głosy potwierdzające. Kochan Rawa obojętnie na nich spoglądał.

— Mnie pana mojego żal — rzekł popędliwie — srogi żal!... Skończyły się dla nas dni swobody i wesela. Biedny pan mój! Korona śliczna, ale nie samą skroń. ciśnie ona całego człowieka, a zrzucić jej ani na chwilę nie można. Wojna? — musi być żołnierzem; pokój? — gospodarzem mu być trzeba, nocą — stróżem... Hej! hej! dola nasza! Królem się będzie zwał, a w rzeczy samej niewolnikiem zostanie!...

Jaśko z Melsztyna spojrzał na mówiącego i zamilkł. Inni ani przeczyli, ani potakiwali. Wierzynek, trochę na bok się usunąwszy, stał sam zadumany. Nadciągała starszyzna i dzwony pogrzebowe wszystkich kościołów w mieście jęczeć zaczęły.

Lud na Wawel płynął...

(Wyjęte w skróceniu z powieści J. I. Kraszewskiego.)

Ile waży garść słomy.

Pewien rycerz z dawnych czasów bogaty i możny, ale niegodziwy i okrutny, żył w swoim zamku, nie wydalając się z niego, jak tylko dla rabowania sąsiadów, niszczenia wiosek i łupienia podróżnych. Żona jego, niewiasta cnotliwa, we dnie i w nocy opłakiwała zbrodnie męża swego i błagała Boga o jego nawrócenie. Otoczona zbytkiem, przepychem, żadnej w tem nie znajdowała przyjemności: jedynem jej wytchnieniem była modlitwa, jedyną pociechą nadzieja, że Bóg ją wysłuchać raczy. To też posyłała bogate ofiary do kościołów, do miejsc cudownych, zamawiała wiele Mszy śś., których sama pobożnie słuchała, i Bóg miłosierny przyjął jej łzy i jęki, jak drugiej Moniki za grzesznym Augustynem.

Pewnej zimowej nocy podczas strasznej burzy, kiedy wiatry świstały i huczały w wieżach zamkowych, potoki deszczu ze śniegiem biły po szybach, błyskawice jak szatani błyskały w ciemnościach i wszelkie żywe stworzenie szukało schronie-

nia, właściciel zamku nie wrócił jeszcze z nocnej wycieczki... małżonka jego siedząc przed kominkiem, gorąco się modliła. Wtem zapukano do drzwi; wszedł służący, oznajmiając, że dwaj ubodzy zakonnicy, głodni i przemokli, zbłąkani w tym dzikim kraju, proszą o nocleg choćby w stajni.

— Pan nie dowie się o tem, bo oni jutro rano wyjdą — dodał służący, wiedząc, że margrabia nie cierpiał kapłanów i wogóle wszystkich sług Bożych.

Pobożna niewiasta kazała hojnie opatrzyć potrzeby zakonników i wszystko w tajemnicy zachować.

Zaledwo sługa się oddalił, gdy usłyszano głos trąbki, rżenie koni i wnetże sam pan wszedł do pokoju; a zdjąwszy zbroję, włożył na się bogate, jedwabne, futrem podszyte odzienie i zasiadł z żoną do stołu, zastawionego wybornemi potrawami, przy świetle białych jak śnieg woskowych pochodni.

Margrabina, strojna w bogatej aksamitnej, złotem haftowanej sukni, nic nie jadła; blaski światła odbijały się w dyamentach, zdobiących jej skronie, i we łzach po jej twarzy płynących, co zwiększało jej wdzięki, bo to były łzy serca...

— Co ci jest? — zapyta małżonek z czułością.

Margrabina nic nie odpowiada.

— Czyś się bała jakiego nieszczęścia dla mnie w tej strasznej burzy? Więc uspokój się! na złość szatanów nic mi się złego nie stało.

Margrabina i teraz nic nie mówiła, tylko płakała... bo łzy to siostry, idą jedna za drugą... gdy pierwsza popłynie, zaraz po niej tysiąc...

Ale margrabia, który z łaski swego Anioła-Stróża, jak kotwicę zbawienia, zachował jeszcze miłość dla swej małżonki, smucił się, widząc ją płaczącą.

— Powiedz mi, proszę — rzecze do niej — co cię tak martwi, przysięgam na mój oręż, że jeżeli to w mej mocy, otrę łzy twoje.

— Płaczę — odpowie margrabina — myśląc, że gdy my w dostatkach i wygodach, inni cierpią ubóstwo i nędzę. Gdy nas ten płomień ogrzewa i rozwesela, drudzy drżą od zimna. Gdy przed nami stoją wyśmienite potrawy, inni głód cierpią... dlatego mi serce się ściska i nic w usta wziąć nie mogę.

— Ale któż taki, proszę, o kimbyś wiedziała, umiera z głodu i z zimna?

— Dwaj biedni zakonnicy, którzy mię prosili o nocleg w stajni.

Margrabia zmarszczył czoło.

— Mnichy! próżniaki! którzy chcą żyć moim kosztem!

— Prosili tylko o przytułek i trochę słomy.

Margrabia woła na służącego.

— O! przez litość, panie mój — rzecze margrabina ze łzami — nie wyganiaj ich! pomnij na twe przyrzeczenie!

— Bądź spokojna! ogrzeją się, nasycą się, a co więcej, zabawią mię. Obaczysz!...

I kazał służącemu przyprowadzić zakonników.

Jednakże gdy weszli, pierzchnął szatański duch złośliwego naśmiewania się, jak przed blaskiem słońca ustępuje zimno i gęste mgły nocne... Mimowolnie powstał, i bezbożne szyderstwo zamarło na jego ustach, jak wąż cofający się do nory... Bo na obliczu starszego kapłana, w białych włosach wieńczących starość jego, jak wieniec różany zdobi skroń młodzieńczą, w pogodzie jego wejrzenia jaśniała ujmująca godność, powaga, słodycz, pociągająca nawet zlodowaciałe i zepsute serca.

Margrabia posadził zakonników do stołu i milczał... ale kapłan, wierny swemu posłannictwu, począł głosić słowo Boże w miejscu, z którego ono było wygnane, i tylko jak w świątyni schroniło się w sercu cnotliwej niewiasty.

Małżonek jej słuchał patrząc na żonę, która z bojaźnią, ze złożonemi rękoma, poglądała na misyonarza, jak żeglarz wśród nocnej burzy wpatruje się w latarnię morską, wskazującą mu port bezpieczny, a usta jej szeptały:

— *Błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego!*

Po wieczerzy margrabia wziąwszy światło, zaprowadził gości do najpiękniejszego pokoju, gdzie im przygotowane były do spoczynku wygodne złocone łóżka z jedwabnymi materacami, ale zakonnicy podziękowali za nie, mówiąc, że sypiają zawsze na słomie.

Wtenczas margrabia sam poszedł do stajni i przyniósł słomy, którą rozesłał na posadzce, a czując, za łaską Bożą, roztapiające się lody swego serca:

— Ojcze — rzecze do zakonnika — jabym się chciał nawrócić, ale czyż podobna, żeby Bóg odpuścił grzechy moje?

— Choćby twe grzechy przewyższały liczbę ziaren piasku morskiego, kropel wody i gwiazd na niebie, serdeczna skrucha wszystkie je zgładzi, a miłosierdzie Boskie przebaczy. Dlatego grzesznik zatwardziały nie ma żadnej wymówki, i to będzie przyczyną jego wiecznej rozpaczy.

Wtedy pokutnik upadając do stóp kapłana, z żalem wyznawał grzechy swoje, a potoki łez z oczu jego płynące skrapiały słomę, na której klęczał.

Gdy misyonarz, złożywszy Bogu dzięki, usnął strudzony, widział się przeniesionym przed trybunał Najwyższego. Sprawiedliwy Sędzia trzymał w ręku szalę dla zważenia dobrych i złych uczynków... Dusza miała być sądzona, była to dusza margrabiego... Czarci w zuchwałym tryumfie złożyli na szali ogromne stosy grzechów... Aniołowie ze zgrozy i politowania zakryli swe oblicze, dusza jęknęła z boleści...

Wtem zbliżył się jej Anioł Stróż, ten Anioł słodki, piękny, cierpliwy, łaskawy; ten Anioł, który serce roztapia skruchą, daje oczom łzy, ręce jałmużnę, który wkłada w usta modlitwę... Anioł ten przyniósł garść słomy, skropionej łzami pokuty, złożył ją na drugiej szali... i o cudo! szala przeważa, miłosierdzie tryumfuje, dusza zbawiona!

Nazajutrz rano, gdy zakonnik wstał ze snu, boleść i zamięszanie panowały na zamku.

Zapytał o przyczynę...

Margrabia umarł w nocy.

Jeszcze Polska nie zginęła!

(Śpiewka.)

„**Jeszcze Polska nie zginęła**",
Śpiewają rodacy,
Oj nie zginie ona pewnie,
Gdy wytrwamy w pracy.

Oj nie zginie, jak Bóg w niebie,
Gdy nie zniknie **cnota**,
Miłość dla niej będzie treścią
Naszego żywota.

Oj nie zginie ona nigdy,
Gdy nas złączy **zgoda**,
Gdy do wspólnej, szczerej pracy
Brat bratu dłoń poda.

Oj nie zginie w żaden sposób,
Póki będzie **pacierz**,
Który szepczem z łzą błagania
Za kochaną Macierz.

Oj nie zginie, bracia mili,
Póki będzie **wiara**,
Póki dla nas będzie droga
Nasza mowa stara.

Oj nie zginie, jak świat światem,
Póki czcim Ojczyznę,
Naszą **ziemię**, nasze **dzieje**,
Najdroższą spuściznę.

Oj nie zginie, jak chcą wrogi,
Póki wolność miła,
Strój i zwyczaj, chęć przyszłości,
Póty jest w nas siła.

Oj nie zginie i mieć będzie
Siły coraz nowe,
Póki będziem kochać, cenić
Wszystko narodowe.

Jeszcze Polska nie zginęła,
Ale zginąć może,
Gdy nam zbrzydnie Orzeł biały
I przyszłość mój Boże.

Od nas to zależy Bracia,
Co się stanie z nami.
A więc ramię do ramienia
Bądźmy Polakami.

Niech praca nas wyżej wzniesie,
Niech nas **uszlachetni,**
A zbierzemy, co roztrwonił
Ten okres stuletni.

Hej pracujcie w swym zakresie
Wszyscy bracia rodni,
Wtedy będziem bez wątpienia
Łaski Bożej godni!

Jeszcze Polska nie zginęła,
Wierzcie mi ludkowie,
Póki łaska jest nad nami
Matki w Częstochowie.

Do Niej zatem wznośmy prośby,
By nas w pieczę wzięła —
Dokąd Ona będzie z nami,
„Polska nie zginęła!“

Poradnik gospodarski i domowy.

Dobre pastwisko dla bydła jest, jak wiadomo, w gospodarstwie nader rzeczą ważną, więc gospodarze powinni wiedzieć, jak o nie należy dbać.

1) Przedewszystkiem należy na pastwisku *wyniszczyć te rośliny,* których bydło zupełnie nie zjada, lub je omija.

2) Aby utrzymać odrost trawy, trzeba pastwisko odpowiednio nawozić. Obornik nie nadaje się do tego, bo choć trawa będzie dłuższą, to za to mniej smaczną, a bydło więcej jej stratuje, niż zje. Dobrze działa na rozrost trawy na pastwisku posypywanie pastwiska w jesieni popiołem, niegaszonem wapnem, lub zwietrzałym i przemarzniętym szlamem stawowym. Najlepiej atoli działają żużle Thomasa, rozsiane z kainitem co piąty krok. Odchodów bydlęcych nie należy rozsiewać po pastwisku, a tem mniej zbierać w kupki, bo bydlę przez parę lat następnych nie tknie w tem miejscu trawy.

3) Na tę część pastwiska, na której się pasie bydło, należy sprowadzić rynną dobrą, świeżą wodę, by ją mogło bydło dowolnie przez cały dzień pić.

4) Nie powinno się paść na całem pastwisku równocześnie, tylko na pewnej części, przeganiając po pewnym czasie bydło na inną część. Po spasieniu każdej części należy wykosić do czysta wszelką trawę i chwasty przez bydło nietknięte i zużyć je na karmę dla koni, a wszelkie kretowiska i mrowiska rozrzucić.

5) Gęsi i kaczek nie należy puszczać na pastwisko, przeznaczone dla bydła, gdyż te zanieczyszczają trawę. Trzody chlewnej też nie należy wpuszczać, ponieważ ryjąc niszczy darnię.

Ile wapna potrzeba na mórg? Wiadomo, że gleba potrzebuje wapna — ale nie każdemu wiadomo, w jakiej ilości na mórg. Otóż doświadczeni gospodarze powiadają, że w Anglii dają na mórg 200 cetnarów wapna, tak, że pole po zwapnowaniu wygląda, jakby pokryte grubą warstwą śniegu. Wielka ta ilość wapna, przez przyoranie dobrze pomieszana z ziemią, rozpulchnia grunt i robi go łatwiejszym do uprawy. Pamiętać tylko trzeba, aby wapnować jesienią, przyorać i dopiero siać na wiosnę, aby wapno miało czas stracić swoje gryzące przymioty. Ziemia przy wapnowaniu powinna być sucha. W Polsce używają zwykle na mórg od 40 do 50 cetnarów, biedniejsi gospodarze w mniejszej ilości.

Czy dobrze jest sadzić drzewa koło budynków. Drzewa liściaste, posadzone w pewnej odległości od budynków, mogą być dobrą ochroną od piorunów, bo pioruny uderzają zwykle w drzewa, zwłaszcza wyniosłe. Szczególnie zaś *topola* ma mieć wielką zdolność ściągania piorunów, ale bezpiecznie może działać tylko w takim razie, gdy jest okryta gałęziami prawie aż do samej ziemi, i znajduje się w dwumetrowem oddaleniu od budynków. Topole ubogie w gałęzie są niebezpieczne dla bliskich budynków, gdyż piorun może z nich przeskoczyć na budynek.

Cylindry do lamp, gdy są zanieczyszczone i mają plamy zastarzałe, czyszczą się dobrze i stają się przejrzyste, gdy się je pomaże masłem, a potem starannie ciepłą, słoną wodą wypłucze.

Środek na oparzenie. Według pewnego lekarza niemieckiego, zwykła pokrzywa, roślina u nas tak powszechna, jest pewnym środkiem na rany z oparzenia powstałe. Świeże liście pokrzywy kraje się w drobne kawałeczki, polewa się nieco wodą i winnym octem. Gdy się na ranę przyłoży płatek płótna, zamaczany w tej mieszaninie soku pokrzywy i rozcieńczonego wodą octu winnego, rana goi się szybko.

Wapno do bielenia ścian. Aby wapno, używane do bielenia ścian, nabrało większej białości, niż ją z natury posiada, i aby od ścian nie odpryskiwało, rozpuszcza się je w wodzie, zaprawionej solą.

Plamy na bieliźnie od kawy najlepiej wywabić letnią wodą ze solą, albo wodą mydlaną, a ostatecznie przez dym siarkowy.

Kilka uwag o karczmach i wódce.

Z Pasieczny koło Nadwórnej otrzymaliśmy z końcem sierpnia list podpisany przez jakiegoś Hucuła (?), a treść tego listu jest mniej więcej taka:

Właśnie przeczytałem 16 numer *Nowego Dzwonka*, w którym między innemi wiadomościami wyczytałem i tę dobrą sumienną naukę: „Nie pijcie gorzałki u żydów, gdyż żydzi dodają do gorzałki tytoń i wapno“.

Bardzo to ładnie, ale do kogóż ma iść ten biedny wieśniak, który zje rano 3—4 kwaśne ogórki i kawałek chleba postnego, potem chce się napić gorzałki, jak nie do żyda? Komu u nas oddane są propinacye, jak nie żydom? a kto temu winien?

Nasz naród ciemny i biedny, a gdy kto z bogatszych chce założyć sklepik chrześcijański, to się boi, bo go żydzi podpalą, a gdy nie podpalą, to wódki sprzedawać nie może, bo propinator gojowi jej nie da“.

Tyle nasz czytelnik, a my dodamy od siebie słów kilka. Istotnie, aby lud nasz nie był oszukiwany w karczmach żydowskich i nie pił w nich trucizny, to przedewszystkiem trzebaby, aby karczmy żydom odebrać i oddać je w ręce chrześcijan. Dziwna rzecz, że o tej tak ważnej sprawie, mało co piszą różne stronnictwa ludowe, co tyle głoszą, iż dla ludu pracują, jeden tylko *Związek chłopski* (oprócz *Głosu Narodu)* poruszał nieraz tę sprawę, ale głos jego był głosem wołającego na puszczy.

Niektórzy posłowie włościańscy stokroć lepiejby zrobili, by zamiast bawić się w wielkich polityków, zajęli się więcej ludem i starali się karczmy i propinacye żydom odebrać.

Ciężka to będzie praca, bo żydzi trzymać się będą rękami i nogami karczmy, ale powoli przy energicznej pracy ze strony chrześcijan wszystko się da zrobić.

Swoją drogą i lud powinien tu współpracować ze swej strony i wódką się często nie zakrapiać, do karczmy nie chodzić.

Wyżej wspomniany czytelnik sądzi, że wieśniak zjadłszy rano kilka ogórków i kawałek postnego chleba, musi potem dla zdrowia napić się wódki, uważa więc wódkę za lekarstwo, w czem się grubo myli.

Najpierw wieśniak nie koniecznie potrzebuje jeść na śniadanie ogórki, by potem dla lepszego ich strawienia pić wódkę, bo za te kilka centów, które wydaje na ogórki i wódkę, może sobie kupić do chleba kawałek sera lub masła.

Powtóre, wódka lekarstwem nie jest, lecz przeważnie szkodliwą jest dla zdrowia, a zwłaszcza taka wódka fałszowana, jaką żydzi sprzedają. W wódce mieści się 70 procent alkoholu, który przesiąka cały organizm ludzki, niszczy go, gryzie i odbiera siły do pracy.

Przypisywanie wódce własności leczniczych jest prostym wymysłem tych ludzi, którzy w wódce posmakowali i chcieliby drugich nałogiem swoim zarazić.

Dwaj uczeni angielscy zrobili ciekawe doświadczenie. W Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki kazali pracować 30 robotnikom, którzy pili tylko wodę i 20 robotnikom używającym wódki.

Po upływie 20 dni zmierzono wykonaną pracę. Pokazało się, że druga partya, która używała wódki, zrobiła cokolwiek więcej w pierwszych sześciu dniach, potem jednak znacznie osłabła. Ostatecznie ci, którzy pili wodę, wykonali pracę o trzy razy większą. Z tego wynika, że wódka sił nie dodaje, lecz je zmniejsza.

Prócz tego czyni wódka wielkie spustoszenie w całym organizmie, a zwłaszcza w jamie ustnej, w gardle i w przełyku. Ostry ten płyn znieczula tak język, że pijak nieraz nie wie, co je, nic mu w końcu nie smakuje, tylko gorzałka. Dalej wywołuje kaszel, krztuszenie się, które się potem w dychawicę zamienia. Przez częste używanie gorzałki żołądek się kurczy lub rozdyma, traci swoją siłę, nie trawi należycie a w końcu nie może spełniać swego zadania. Często pijacy na raka żołądkowego umierają, a straszna to śmierć, bo prawdziwie głodowa.

Podobnemu zepsuciu podlegają i inne wewnętrzne części ciała. Wątroba puchnie, zalewa się krwią, żółć po ciele się rozlewa, co wywołuje cały szereg innych chorób. U osób starszych przychodzi w końcu brzuszna puchlina.

Nie lekarstwem przeto ale trucizną jest gorzałka, a kto ją pije, ten sam siebie powoli zabija.

Gdyby sobie to nasz lud wziął do serca, toby po karczmach wódki ani za dukata nie znalazł, a i zdrowotność byłaby po wsiach większą i biedyby takiej nie było.

Dobrze napisał niedawno *Związek chłopski*, że wódka prowadzi do nędzy. Opisane to jest w następującym wierszyku:

Pijał Piotr po kieliszku wódki czasem zrana,
Bo, że to ma być zdrowo, słyszał od ułana.
Potem zrana i wieczór i o każdej porze
Gdy był zmęczony pracą, lub też w złym humorze.
A że go później znowu coraz częściej czczyło,
Więc pił zawsze, gdy tylko grosza mu starczyło.
Lecz grosza wnet nie stało — zapadł w długi, borgi,
Zabrał żydek za wódkę chałupę i morgi!
Jak mu wyszło na zdrowie, poznał po niewczasie,
Bo dziś u żyda bydło na swym gruncie pasie!

A czy nie tak się dzieje? — Osądźcie to sami!

Zjazd delegatów katolickich stowarzyszeń robotniczych.

Niezwykły ruch panował w Nowym Sączu w dniach 22 i 23 sierpnia b. r. Z wszystkich stron kraju przybyli tam delegaci różnych katolickich stowarzyszeń robotniczych, by obradować nad sprawami robotniczemi i utworzyć ogólny krajowy Związek tychże stowarzyszeń.

Nasi Najdost. XX. Biskupi przysłali zebranym delegatom swe pasterskie błogosławieństwo i zachętę do pracy w tak pięknym celu.

Przez dwa dni radzono i omawiano przeróżne sprawy. Nie było tam słychać w czasie obrad bezecnych wymyślań na inne stany, ni złorzeczeń, jakie się słyszy na zebraniach socyalistów, bo wszyscy przybyli na zebranie przejęci duchem miłości chrześcijańskiej i nie po to, aby cały świat szkalować, ale, aby o sobie radzić i obmyśleć uczciwe środki dla dobra robotnika i do walki z żydowskim socyalizmem.

To też obrady szły gładko, a z każdej mowy wygłoszonej czy to przez kapłana, czy przez robotnika, czy przez wieśniaka wiał duch katolicki i szczera życzliwość dla pracującej rzeszy. Nie dziwota tedy, że każdego mowcę nagradzano burzą oklasków.

Szczególnie pięknie przemawiał na pierwszem zebraniu p. Przygodzki, delegat „Jedności“ lwowskiej, wykazując dowodnie, że liberalizm, który społeczeństwo zaraził niewiarą, skazał robotnika na łaskę kapitalistów (żydów). Ale znaleźli się ludzie dobrej woli, którzy pod sztandarem krzyża ujęli się za robotnikiem i głośno wołają, że „nie wolno wyzyskiwać biednego robotnika, ale widzieć w nim trzeba swego bliźniego i przyjaciela“.

Mówił dalej p. Przygodzki o socyalistach, którzy wspólnie z żydami wyrugowali z serc wielu robotników Boga. I ci chcą na pozór lepszej dla robotników doli, lecz droga, którą oni dążą, jest bezbożna.

Czas dziś wielki, aby społeczeństwo zajęło się robotnikiem i dopomogło mu do wydostania się z biedy przez odpowiednie ustawy zabezpieczenia robotnika na życie, na wypadek uszkodzenia zdrowia i na starość.

Sprawę robotniczą, według słów Ojca św. ma rozwiązać społeczeństwo, Kościół i państwo. Rząd dotąd mało zrobił dla robotnika, trzeba więc żądać od państwa, by uwzględniło życzenia robotników i z nimi obmyślało reformę robotniczą. Jeżeli wszystkie klasy — tak kończył swą mowę p. Przygodzki — pójdą drogą jedności i miłości chrześcijańskiej, to wrogowie upaść muszą.

Na wniosek mowcy uchwaliło zgromadzenie następujące rezolucye:

1) Żądać od parlamentu ustawy o ubezpieczeniu robotnika na wypadek choroby, rozszerzyć tę ustawę na służbę domową i gospodarczą.

2) Domagać się drogą ustawy rozpowszechnienia ustawy ubezpieczeń od starości i niezdolności do pracy,

3) Żądać ustawy o ubezpieczeniu robotnika od choroby i od wypadków i aby wyłącznie płacili na to podatek przedsiębiorcy przemysłowi i fabryczni.

4) Zarząd robotniczych katolickich stowarzyszeń winien być w ręku robotników nie państwa.

5) Zakładać na wzór „Przyjaźni“ we Lwowie zarejestrowane kasy zapomogowe, mające na celu wszelkiego rodzaju zabezpieczenia.

Następnie przemawiał p. dr. Dobija, adwokat z Krakowa w imieniu stronnictwa „chrześcijańsko-socyalnego“, zachęcając do walki przeciw żydom i socyalistom, a ks. dr. Żyguliński z Tarnowa wzywał zgromadzonych, by to stowarzyszenie rozszerzano po wszystkich miastach.

Dalej przemawiał p. Chrzanowski, wójt z Siedlec, żądając stanowczo, by księża i szlachta gorliwiej niż dotąd walczyli ze socyalizmem.

Po małej przerwie, przeznaczonej na podwieczorek, rozpoczęto obrady na nowo o godzinie 6 wieczorem, a różni mowcy zdawali sprawozdania z ruchu robotniczych stowarzyszeń katolickich rozsianych po kraju.

Nazajutrz 23 sierpnia przystąpiono do omówienia projektu statutu „centralnego zarządu robotniczego“ w Galicyi. Gotowy statut, z małemi poprawkami przyjęto jednogłośnie.

Otóż celem „Krajowego Związku stowarzyszeń katolicko-robotniczych“ jest zakładanie w kraju nowych takich stowarzyszeń i popieranie dawnych. Za pismo urzędowe tegoż Związku obrano *Grzmot*, nadto wskazano popierać inne pisma katolickie, zajmujące się sprawą robotnika.

Na siedzibę centralnego Zarządu oznaczono na 2 lata Lwów, a miejscem następnego zjazdu delegatów stowarzyszeń będzie Kraków.

Potem ks. prałat Łukowski przemawiał o zajęciu się dolą sług i robotnic, o potrzebie dla nich opieki przez zakładanie odpowiednich stowarzyszeń, zaś ks. Żyguliński zażądał zakładania w stowarzyszeniach katolickich: 1) kas pogrzebowych; 2) kas pożyczkowych, 3) kas zapomogowych i 4) kas drobnych oszczędności, oraz 5) sklepików robotniczych, by robotnika wyrwać ze szpon żydowskich i dostarczyć mu taniego a zdrowego pożywienia.

Postawiono wkońcu wiele innych wniosków, podobnych powyższym, a na zakończenie, na wniosek przewodniczącego p. Piaseckiego, wyrażono podziękę księdzu Sopuchowi, Jezuicie z Nowego Sącza, który ten zjazd przyprowadził do skutku, a ks. Sopuch podziękował delegatom. Po skończeniu zaś obrad odbyła się uczta wspólna, a potem rozjechali się delegaci, nabrawszy zapału do dalszej pracy.

Nie trzeba chyba dodawać, że żydków i socyalistów bardzo ten zjazd kłuł w oczy, więc na złość i oni urządzili sobie w pierwszym dniu w ogrodzie małe zebranie, na którem atoli zjawiło się nie zbyt wielu robotników, natomiast zaś wielu było żydów.

Ufajmy i wierzmy, że przy pomocy Bożej zgnieciemy hydrę socyalistyczno-żydowską, ale, aby się to stało, trzeba dalej w tym względzie jeszcze gorliwiej niż dotąd pracować.

Oto prawdziwi przyjaciele ludu roboczego!

Niczego tak się nie boją prowodyrzy socyalistów, jak tego, aby księża lub panowie nie zajęli się dolą robotników. Ich tedy szkalowania i podjudzania przeciw księżom i inteligencyi nie mają tego na celu, aby przez to szkalowanie poprawić dolę robotników i ludu, tylko, aby robotników trzymać przy sobie, strzydz z nich wełnę, wyciągać z kieszeni ostatni cent, a nie dopuścić ich do szukania opieki czy to u księży, czy u osób innych stanów.

Prowodyrzy owi bowiem wiedzą dobrze, że gdy robotnik stanie pod opieką księży lub katolickich a uczciwych przedsiębiorców i panów, to rzecz jasna, iż wtedy taki robotnik dla socyalizmu stracony, bo ani się nie da dalej bałamucić, ani wyzyskiwać.

U nas mało się jeszcze dotąd robi, aby lud roboczy i lud wiejski wyrwać ze szpon socyalistów, ale za granicą, zwłaszcza we Francyi i w Niemczech postęp na tem polu wielki, to też tam stowarzyszenia katolickich robotników liczą setki tysięcy członków, a obóz socyalistyczny maleje.

Nie brak tam ni księży, ni panów, którzy całą duszą oddali się sprawie ludu roboczego i gorliwie nad tem pracują, by polepszyć dolę robotnika, a równocześnie by go ustrzedz od utraty Wiary św. od błędnych nauk socyalistycznych.

Przytaczamy tu kilka przykładów:

W Alzacyi jest miasteczko Mülhausen, które dziś stanowi ognisko najżywszego ruchu przemysłowego w całej Alzacyi. Głównie zaś trudnią się tam wyrobami bawełnianemi, przy których powstały i inne zakłady fabryczne, jak: farbiarnie, warsztaty tkackie, fabryki mydła, papierowe fabryki zabawek i t. d.

Rzecz jasna, iż liczba robotników musi być znaczna, a dziś dochodzi ona do 18 tysięcy dusz. Robotnicy ci założyli sobie na północno-wschodniej stronie miasta osobną osadę. I owo do tej osady przybył przed kilkunastu laty na proboszcza ks. Cettu.

Pole do pracy miał wielkie, lecz się nie uląkł tego ciężaru i nietylko w kościele pracował ale i po za kościołem. Przedewszystkiem zaczął tę pozakościelną pracę od zakładania „spółek" i „związków", do których gromadził osobne stany: młodzież, dzieci, matki i mężów.

Każdy taki związek ma co miesiąc naradę, po której następuje rozrywka. Co ćwierć roku odbywają członkowie Spowiedź św. i wspólną Komunię św., co roku zaś rekolekcye. Każdy związek zbiera od swych członków składki, z czego tworzy się fundusz na zaopatrywanie członków wiekowych lub pozbawionych zarobku i na pielęgnowanie chorych.

Z własnych funduszów założyły owe „związki" dwie szkoły gospodarstwa, do których robotnicy chodzą bezpłatnie na naukę trzy razy w tygodniu. Jest też i budynek, gdzie robotnik za 85 fenigów (około 50 centów) na dzień otrzymuje całe utrzymanie, a jadło jest zdrowe i smaczne.

Robotnicy mają także towarzystwa śpiewackie, wydają własną gazetkę, a pilnie też czytują i popierają inne katolickie pisma i broszury.

Dalej założyli sobie ze składek między sobą własną piekarnię i handel dobrego, taniego wina, w którym atoli handlu tylko kupować im wolno wino, piją zaś je w domu.

Cała osada liczy blisko tysiąc domów jużto dwupiętrowych, już dworków, a robotnicy oprócz zapłaty za mieszkanie mogą co miesiąc dopłacać pewną kwotę na zakupno tego domu, i tak powoli, po kilkunastu latach niejeden robotnik staje się właścicielem domu.

Przyznacie łaskawi czytelnicy, że to prawdziwe szczęście na ziemi, należeć do grona takich robotników. I czyjaż to zasługa? Oto księdza Cettu.

On pokazał światu, że szczęście robotników tylko pod opieką Kościoła, on swoją gorliwą pracą zwyciężył socyalistów. Tygodnik czeski *Hornicke Listy* pisząc o tem dodaje taką od siebie uwagę: „Co o tem rzekną socyaliści i ich wodzowie żydy? — a co z drugiej strony rzekną ci, którzy działać mogą podobnie — — ale śpią?"

Podobnym obrońcą robotników, jak wyżej wspomniany ks. Cettu, jest możny pan francuski hrabia Alfred de Mun, który też umiał odczuć niedolę biednych i nietylko postanowił „cierpieć z cierpiącymi", ale stać się ich nieustraszonym obrońcą.

Hrabia de Mun początkowo służył przy wojsku i brał udział w wojnie francusko-pruskiej w r. 1870, jako porucznik kirasyerów fran-

cuskich. Później walczył przeciw komunardom (rewolucyonistom) w Paryżu, a widząc, jakich okropności dopuszczały się te potwory, postanowił sobie umoralnić i podnieść niższe warstwy społeczeństwa.

Opuściwszy wojsko zaczął wspólnie z p. Maignien pracować, zawiązał najpierw Kółko robotników katolickich w Paryżu, a potem podobne Kółka poza Paryżem. W Kółkach wygłaszał sam mowy, a co pewien czas urządzał pielgrzymki do miejsc świętych i wszystko skierował ku temu, by ludność ocknęła się z niewiary i zaczęła wracać do Boga.

Okrzyczano go za to socyalistą, ale hr. de Mun na to nie zważa i dalej zajmuje się robotnikami dbając i o polepszenie ich bytu i o uszlachetnienie ich ducha.

Prócz hrabiego de Mun ma Francya jeszcze jednego sławnego opiekuna robotników, a jest nim p. Leon Harmel, który niedawno przywiódł do Ojca św. liczną rzeszę robotników francuskich.

Mało jest takich panów i chlebodawców, którzyby obowiązki swe względem podwładnych i robotników tak szlachetnie pojmowali jak p. Harmel.

W fabrykach i zakładach, które są jego własnością, pracuje kilka tysięcy robotników, a wszyscy czczą w nim nie tyle pana, jak raczej opiekuna i ojca dobrego.

P. Harmel nie widzi poniżenia swej godności w tem, iż na nabożeństwa idzie razem z robotnikami, sam ich do tego zachęca, sam pierwszy staje na czele rozmaitych bractw katolickich i stowarzyszeń robotniczych.

Co rok urządza on pielgrzymkę do Rzymu i prowadzi robotników swoich przed oblicze Ojca św., tego Ojca chrześcijaństwa, który złożył już tyle dowodów serdecznej życzliwości dla stanów pracujących. To też robotnicy p. Harmela nie ulegają podszeptom socyalistów i gotowi są czarną swą i stwardniałą od pracy ręką bronić najświętszych skarbów, t. j. Wiary św. i Ojczyzny.

Aż się serce raduje, gdy się słyszy o takich rzeczach, a czyż u nas nie mogłoby tak być? Nietylko mogłoby tak być, ale i być tak powinno i da Bóg, będzie, gdy tylko obudzą się ci, coby działać mogli podobnie, jak ci tutaj przedstawieni opiekunowie ludu roboczego. Daj to Boże!

Car Mikołaj II w Warszawie.

Nietylko Polacy pod zaborem rosyjskim, ale cały naród polski z wszystkich trzech zaborów i cały świat z zajęciem wielkiem śledził przebieg owych uroczystości, jakie się odbywały w Warszawie od 31

sierpnia do 4 września z okazyi pobytu w tem mieście samodzierżcy rosyjskiego, cara Mikołaja.

Gazety przepełnione były opisem przyjęcia, jakie zgotowali Polacy młodemu carowi, by mu pokazać, że naród polski umie ocenić nawet odrobinę życzliwości, odrobinę łask, jakie car obecny dał Polakom.

Niczego nie pragniemy, tylko by nam żyć dano, by nas tak nie uciskano, nie prześladowano jak dotąd, a za to miliony serc naszych ofiarujemy tobie, carze, nasz władco! Tak wołały gazety polskie przed przyjazdem cara i w czasie jego pobytu w dawnej stolicy królów polskich! A równocześnie piękna Warszawa przystroiła się w szaty świąteczne i czekała rychłoli zjawi się w jej murach młody władca, w którym naród polski tyle nadziei pokłada.

I nadeszła ta chwila. Dnia 31 sierpnia po południu, wnet po godzinie 4 nadjechał pociąg dworski wiozący cara, jego żonę Aleksandrę Teodorównę, dwie córeczki, kilku wielkich książąt i wielu dworskich dygnitarzy. Pierwsze przyjęcie urzędowe odbyło się zaraz na dworcu kolejowym przez deputacyę miejską z przezydentem miasta Bibikowem, na czele.

Bibikow ofiarował carowi na tacy chleb i sól, jako symbol gościnności, a car odpowiedział: „Jestem bardzo rad, że po raz pierwszy wraz z cesarzową przyjechałem na pobyt do Warszawy. Ze szczególnem zadowoleniem przyjmuję wasz dar“.

Z dworca ruszyły wnet powozy do miasta wśród bicia dzwonów we wszystkich kościołach. Para cesarska jechała w osobnym otwartym powozie bez żadnej eskorty wojskowej; szpalery na ulicach tworzyli sami obywatele, a po za niemi stały tysiące ludzi, witając parę carską okrzykami: „niech żyje!“ i „hurra!“ za co car i carowa dziękując kłaniali się na wszystkie strony uprzejmie.

Po drodze car nigdzie nie wstępował, lecz zajechał wprost do pałacu w Łazienkach, gdzie wieczorem odbył się obiad familijny, na który otrzymał zaproszenie generał-gubernator Królestwa książę Imeretyński i margrabia Zygmunt Wielopolski.

Po obiedzie zdawał carowi książę Imeretyński sprawozdanie o stanie rzeczy i o swej działalności w Królestwie, a równocześnie całe miasto zajaśniało wspaniałą iluminacyą, na stawie zaś przed pałacem łazienkowskim błysnęły ognie sztuczne i dały się słyszeć śliczne śpiewy warszawskich śpiewaków.

Carowi bardzo się to podobało, to też wyraził księciu Imeretyńskiemu w swojem i carowej imieniu swe najwyższe zadowolenie za wzorowy porządek w mieście podczas wjazdu pary cesarskiej i za te dowody serdeczności ze strony mieszkańców.

Nazajutrz we środę (1 września) rano o godzinie 8 wyjechali oboje cesarstwo do soboru prawosławnego. Na ulicach lud zebrany

witał ich okrzykami. Po drodze wstąpili na plac Saski, gdzie oglądali model budującej się tu nowej cerkwi prawosławnej.

O godzinie 11-tej wyjechał car z carową i liczną świtą na plac Mokotowski, gdzie się odbywał przegląd wojska, poczem powrócili do pałacu łazienkowskiego.

Po południu tegoż dnia o godzinie 4-tej odbyło się przyjęcie deputacyi, która przyszła ofiarować carowi upominek na uczczenie jego pobytu w Warszawie. Obywatelstwo polskie, chcąc uczcić tę chwilę, zebrało drogą składek przeszło milion rubli, za które ma być utworzona fundacya imienia cara Mikołaja.

Deputacyi przewodniczył margrabia Wielopolski. Członkowie wchodzili do sali kolejno, a przedstawiał ich carowi i carowej książę Imeretyński. Gdy się ustawili w półkolu, przemówił margr. Wielopolski do cara w te słowa po rosyjsku:

„Najjaśniejszy panie! Z głębi duszy dziękujemy ci, najmiłościwszy panie, za szczęście oglądania ciebie i najjaśniejszej cesarzowej naszej pośród nas. Dzięki ci, że nie odrzucasz skromnego daru kraju tutejszego. Chętna i według sił składana ofiara wszystkich mieszkańców Królestwa Polskiego bez różnicy stanu i pochodzenia, niechaj będzie rękojmią ufności zobopólnej twoich poddanych, złączonych miłością monarchy i ojczyzny. Przyjmij też w darze, najmiłościwszy panie, miliony serc naszych, ufających ci bez granic. W twem wspaniałomyślnem samowładztwie, w pokoju wewnętrznym państwa, potędze, chwale monarchii, cały naród polski promienistą widzi przyszłość i gotów, czy to w szczęściu, czy też pośród doświadczeń losu — wiernie, niezachwianie służyć tobie, ukochanemu monarsze!“

Car Mikołaj II odpowiedział:

„W imieniu cesarzowej i mojem wyrażam wam panowie nasze szczere podziękowanie za ten szczodry dar, w którym wzięły udział wszystkie warstwy ludności polskiej i za uczucia przywiązania, któreście nam wyjawili. Ja wierzę w zupełności w ich szczerość. Wczoraj byliśmy oboje głęboko wzruszeni gorącem przyjęciem, okazanem nam. Powitanie Warszawy pozostawi nam najmilsze wspomnienie o naszych pierwszych jej odwiedzinach. Jeszcze raz serdecznie wam, panowie, dziękuję“.

Z pałacu łazienkowskiego udał się komitet do księcia Imeretyńskiego, by mu złożyć podziękowanie za poparcie. Książę Imeretyski odwiedział: „Panowie, do tego, co wam powiedział Najjaśniejszy Pan, ja chyba już ani słówka od siebie dodać nie mogę“.

Wieczorem tegoż dnia odbyło się wspaniałe przyjęcie w salach dawnego zamku królów polskich, u księstwa Imeretyńskich, na które otrzymało zaproszenie 1600 osób. O godzinie 10-tej przybyli oboje carstwo i zabawili do godziny 12-tej w nocy. Car rozmawiał z wielu Polakami.

Na trzeci dzień, t. j. we czwartek dnia 2-go września, udał się car do Modlina i Zegrza dla zwiedzenia fortyfikacyj, a carowa w tymże

czasie zwiedzała w mieście różne zakłady dobroczynne. O godzinie wpół do piątej powrócił cesarz z Modlina i Zegrza, a o siódmej wieczorem odbył się w pałacu łazienkowskim obiad na 250 osób, podany w trzech salach. Po obiedzie odbyło się o godzinie 10-tej przedstawienie w teatrze łazienkowskim na wyspie.

W piątek dnia 3-go września zwiedzali cesarstwo zakłady naukowe i dobroczynne, następnie wyjechali do fortów pod Warszawą, w okolice Służewa. Po powrocie odbył się obiad w pałacu łazienkowskim, na który otrzymało zaproszenie kilkaset osób, między któremi było kilku Polaków i Polek (z pomiędzy szlachty), którzy otrzymali w tym dniu różne godności dworskie.

Po obiedzie udano się do teatru na przedstawienie galowe. Na czwarty dzień, to jest w sobotę rano o godzinie 9-tej nastąpił odjazd pary cesarskiej. Na całej drodze od Łazienek aż do dworca kolei petersburgskiej na Pradze, stały niezliczone tłumy ludności, które, gdy powozy cesarskie przejeżdżały, wznosiły okrzyki na cześć cara i carowej.

Na dworcu kolejowym oczekiwała parę cesarską warszawska polska szlachta. Gdy przybył cesarz i miał wsiadać do wagonu, podał rękę margrabiemu Wielopolskiemu i raz jeszcze dziękował mu serdecznie za przyjęcie, jakiego doznał w Warszawie. Polskie panie. które tworzyły szpaler przez pokoje dworskie aż do drzwi wagonu, ofiarowały carowej wspaniałe bukiety, a carowa podawała każdej z pań rękę do ucałowania i dziękowała za bukiety.

Podawszy opis pobytu cara w Warszawie. trzeba jeszcze dodać słów kilka o tem, czy dla Polaków pod zaborem rosyjskim przyniesie carski pobyt jaką korzyść. Na razie nikt nic nie wie; gazety zwracają tylko uwagę na słowa carskie: że wierzy w zupełności w szczerość słów, wypowiedzianych przez Wielopolskiego, który zapewniał cara o wierności Polaków dla tronu. Rosyjskie pisma, mianowicie uczciwsze, ujmują się za Polakami, i radzą dać im większą swobodę. Półurzędowe gazety wiedeńskie przepowiadają Polakom ulgi pod berłem cara — ale to wszystko tak niepewnie, tak niejasno wypowiedziane, że właściwie wielkich nadziei mieć nie można.

Najchłodniej, a przytem z przekąsem i ze źle ukrytą złością odzywały się o wizycie carskiej gazety pruskie, bo dla nich było to solą w oku. Prusacy bowiem chcieliby wytępić Polaków ogniem i mieczem, a tu widzą, że w Rosyi zaczynają zbliżać się ku Polakom, więc jakże się nie mieli złościć?

Co słychać w świecie.

(Wiadomości społeczne i polityczne).

Austrya i Węgry. Hr. Badeni próbował, jak pisaliśmy, zwołać wybitniejszych Niemców z Czech i Czechów na wspólną naradę, i pogodzić ich, ale Niemcy zaproszenia nie przyjęli, więc narady do skutku nie przyszły. Wskutek tego zwrócił się hr. Badeni do prawicy, bo widzi, że z Niemcami zapamiętałymi rządzić się nie da; na prawicy tedy chce teraz rząd swój oprzeć.

Dnia 1-go września zjechali się w tym celu w Wiedniu posłowie do Rady państwa, należący do tak zwanego „komitetu wykonawczego“ prawicy i poczęli naradzać się między sobą i z rządem, pod jakimi warunkami prawica mogłaby rząd we wszystkich sprawach popierać, by złamać pychę i brutalstwo Niemców.

Podobno przyszło w tym względzie między owymi posłami a hr. Badenim do zupełnego porozumienia, choć niektóre gazety przeczą temu.

Dnia 8-go września odbyła się narada ministrów pod przewodnictwem Cesarza. Omawiano obecne położenie wewnętrzne w Austryi. Najjaśniejszy Pan objawił życzenie, aby *Rada państwa* była zwołaną koło 23 w r z e ś n i a; co do zwołania wspólnych delegacyj, nie oznaczono jeszcze terminu.

Słychać, że zaraz na pierwszem posiedzeniu Rady państwa ma być przedłożony wniosek zmiany regulaminu podczas obrad, by owi zaciekli Niemcy z lewicy i socyaliści nie mogli hałasować i wyprawiać awantur. Lewica zaś i socyaliści mają postawić wniosek o postawienie ministerstwa w stan oskarżenia, zaś przeciw ministrowi oświaty wniosą osobny akt oskarżenia, a to wszystko wyrachowane na to, aby reszcie posłów utrudnić pracę, z krzywdą dla ludu. Co jednak socyalistów obchodzi dola ludu!

Rosya. Podczas bytności cara w Warszawie miało zapaść nader ważne postanowienie, mianowicie, że książę Imeretyński, dotychczasowy jenerał-gubernator Królestwa Polskiego, ma zostać ministrem wojny, zaś jenerał-gubernatorem Królestwa Polskiego wielki książę Paweł, członek rodziny carskiej.

Wogóle mówią, że car Mikołaj II chciałby ulżyć Polakom, ale zmiany wszelkie muszą być przeprowadzone powoli, bo przedtem trzeba złamać upór tego stronnictwa Moskali, które Polakom nie sprzyja, a na dworze carskim ma jeszcze dość znaczny wpływ.

Dużo daje do myślenia wyjazd z Petersburga matki cara (wdowy po Aleksandrze III), która 2-go sierpnia wyjechała do swej rodziny

w Danii, a to podobno na żądanie cara, jej syna. Miała ona zamiar ogłosić cara chorym i rządzić razem z tymi Moskalami, którzy Polaków nie cierpią, i obywatelom państwa nie chcą dać żadnej wolności. O tym spisku car się dowiedział, i kazał matce raz na zawsze wyjechać.

Przymierze Rosyi z Francyą, które dotąd było bardzo niewyraźne, wyszło na jaw w czasie pobytu prezydenta Francyi Fora w Petersburgu, gdzie był gościem cara. Po kilkudniowym pobycie i przyjęciu nader wspaniałem, jakie zgotowano prezydentowi Francyi, gdy już miał nastąpić odjazd prezydenta, wygłosili car i prezydent przy pożegnaniu na okręcie mowy, na które cały świat polityczny z niecierpliwością czekał, a szczególnie czekali na to Francuzi.

Prezydent For, dziękując carowi za gościnność, nazwał w ciągu swej mowy Rosyę i Francyę dwoma „sprzymierzonymi“ narodami, które się połączyły w braterskim uścisku“. Car Mikołaj w odpowiedzi oświadczył, że te słowa znajdują odgłos w jego sercu, i tak samo nazwał oba narody „sprzymierzonymi“ narodami, dążącymi całą potęgą do utrzymania pokoju.

Gazety piszą, iż owo przymierze zawarto na lat 6, a ma ono mieć cel wyłącznie obronny i pokojowy. O ile w tem prawdy, to przyszłość pokaże.

Francya. Z powodu zawarcia wyżej wspomnianego przymierza panuje w całej Francyi szalona radość. Choć w traktacie niema podobno mowy o odebraniu Prusakom Alzacyi i Lotaryngii, to Francuzi mają nadzieję, że te kraje przy pomocy Rosyi Prusakom odbiorą.

Gdy prezydent For powrócił (31 sierpnia) do Paryża, przyjęto go jakby jakiego zwycięzcę. Miasto przybrano wspaniale, wystawiono bramę tryumfalną, wręczono prezydentowi pismo dziękczynne, a przełożeni powiatów otrzymali nakaz, by w tym dniu urządzili zabawy dla ludu.

Podczas wjazdu prezydenta do Paryża zaszedł atoli niemiły wypadek, mogący sprowadzić wielkie nieszczęście. Gdy prezydent jechał do pałacu elizejskiego i mijał kościół św. Magdaleny, wybuchła nagle bomba za sztachetkami kościoła. Bomba nie raniła atoli nikogo. Posądzają o ten zamach anarchistów.

Niemcy. Na manewrach wojskowych pod Homburgiem byli jako goście oboje królestwo włoscy. — Cesarz niemiecki ma wyjechać na wiosnę roku przyszłego do Jerozolimy, gdzie ma być na otwarciu nowego zboru luterskiego. W tymże roku uda się cesarz do Włoch na zwiedzenie wystawy w Turynie. Prosili go o to królestwo włoscy.

Gnębienie Polaków pod Prusakiem idzie dalszym krokiem. Księdzu wikaremu Budziakowi w Potulicach zakazano uczyć dzieci religii. Ksiądz Budziak uczył dzieci religii prywatnie i po polsku, a to Prusakom ogromnie się nie podobało.

Niemniej smutna nadeszła wiadomość ze Śląska Górnego. Istnieją tam od przeszło 25 lat polskie Towarzystwa św. Alojzego, które już dużo dobrego zdziałały dla młodzieży katolicko-polskiej. Otóż ks. Kardynał Kopp z Wrocławia rozkazał teraz księżom, by z tych Towarzystw (dlatego, że one są polskie) wystąpili i godności przełożonych złożyli, sądząc, że przez to Towarzystwa owe się rozwiążą i upadną. Pomylił się jednak grubo ks. Kardynał, bo w wielu już miejscowościach oświadczyli członkowie, że na prezesów obiorą sobie świeckie osoby, i Towarzystwa dalej istnieć będą.

Ks. Kardynał niepotrzebnie przeciwko sobie lud polski rozgorycza, a poczciwy to lud i głęboko do Kościoła św. przywiązany.

W Turcyi było z końcem sierpnia kilka zamachów, rzucono kilka bomb, i zanosiło się jakby na rewolucyę, którą chcieli wywołać uciemiężeni Armeńczycy. Nie przyszło jednak do groźniejszych zaburzeń, bo zaraz wielu Armeńczyków aresztowano. Z tych aresztowanych kilku wypuszczono na wolność, a ośmiu skazano na śmierć. Obawiano się, że Turcy zechcą się znowu mścić na Armeńczykach i mordować ich, ale ambasador francuski powiedział posłańcowi sułtana, żeby rząd turecki starał się wszelkiemi siłami przeszkodzić rzezi, bo inaczej będzie za to odpowiedzialnym wobec mocarstw, i mogą stąd wyniknąć groźne zaburzenia. Rząd usłuchał tego polecenia.

Pokój z Grecyą jeszcze nie zawarty. Grecya szuka pożyczki, by spłacić Turcyi koszta wojenne.

W Hiszpanii wydarzył się znowu nowy zamach, tym razem na dyrektora policyi w Barcelonie. Gdy ów dyrektor, nazwiskiem Portas, wychodził z teatru wieczorem 4-go września, został niespodzianie trafiony kulą w pierś, a jego pomocnik w ramię. Zbrodniarza ujęto, ale spólnicy jego uciekli.

Rząd hiszpański otrzymał wiadomość od tajnej policyi z Londynu (w Anglii), że anarchiści przygotowują zamach na hiszpańską rodzinę królewską. Dla tych zbrodniarzy niema nic świętego, oni gotowi się targnąć na życie młodziutkiego króla, jakkolwiek ten nic im nie winien, bo sam jeszcze nie rządzi.

Kronika kościelna.

Z Rzymu. W dniu 7-go sierpnia przyjmował Ojciec św. pielgrzymkę robotników francuskich, pod wodzą ich przyjaciela p. Harmela, o którym wyżej piszemy. Pielgrzymów było przeszło 1200. Ojciec św. zapewniał ich o swej niezmiennej życzliwości dla robotników, ostrzegał ich przed socyalistami, którzy tylko niszczyć potrafią i jątrzyć, a nie koić rany i ulżyć nędzy. Na zakończenie pobłogosławił pielgrzymów.

Kolegium ruskie w Rzymie. Ojciec św. postanowił założyć w Rzymie seminaryum duchowne, pod kierownictwem OO. Jezuitów, celem wychowywania proboszczów ruskich dla Galicyi. Dzisiejsi bowiem proboszczowie ruscy w Galicyi (naturalnie nie wszyscy) nie są przejęci duchem szczerze katolickim, jak się to pokazało z ostatnich wyborów, w czasie których podjudzali naród i szli razem z radykałami. Cesarz austryacki ofiarować miał z prywatnej szkatuły znaczną kwotę na urządzenie tego seminaryum.

W dzień św. Joachima, jako w dzień swego Patrona, przyjmował Ojciec św. 15 Kardynałów, wielu Biskupów, Prałatów i deputacye towarzystw katolickich. Ojciec św. wypytywał się kilku Kardynałów o dzieła katolików w różnych krajach i rozmawiał z Kardynałem Steinhuberem o uroczystościach na cześć błog. Piotra Kanizyusza w Szwajcaryi i Niemczech. Posłuchanie trwało przeszło godzinę.

Piękna rocznica, to jest 60-letnia rocznica pierwszej Mszy św., którą Ojciec św. jako nowowyświęcony kapłan odprawił, przypada w grudniu b. r. w wigilię Nowego Roku. Z tego więc powodu, dla uczczenia rocznicy, odbędzie się wielka pielgrzymka stowarzyszeń katolickich do Watykanu. Urządza ją adwokat wenecki Paganuzzi.

Jego Eminencya, ksiądz Kardynał Sembratowicz, ruski Arcybiskup lwowski, ciężko zaniemógł. Lwowska kapituła ruska wydała do podwładnego duchowieństwa okólnik z poleceniem, aby księża o tej słabości Arcypasterza lud zawiadomili, aby odprawili śpiewaną Mszę św. na intencyę wyzdrowienia, i aby w niedziele i święta również dołączali modły w powyższej intencyi.

Pogłoska. Amerykańskie i niektóre inne zagraniczne gazety puściły w świat pogłoskę, jakoby ksiądz Arcybiskup Hryniewiecki, były Biskup wileński, a obecnie kanonik przy kapitule we Lwowie, miał zostać Biskupem dla Polaków w Ameryce. Pogłosce tej zaprzeczyły pisma galicyjskie.

Ziemie polskie pod Moskalem. Katolicka berlińska gazeta *Germania* donosi, iż przyszło już do porozumienia między Stolicą św. a rządem rosyjskim, co do obsadzenia opróżnionych stolic biskupich, i że Ojciec św. osobnem pismem już zatwierdził nominacyę tych osób, których nazwiska podaliśmy w jednym z poprzednich numerów.

Na Litwie ma być powiększona liczba biskupstw katolickich i liczba parafij, oraz będzie dozwolona budowa nowych kościołów, co dotąd było wzbronionem, a przynajmniej bardzo ograniczonem.

W sprawie języka rosyjskiego przy nabożeństwie. Do archidyecezyi mohylewskiej, która obejmuje prawie całą Rosyę, przyłączył rząd rosyjski przed wielu laty dyecezyę mińską. Rząd domagał się, aby tam, oraz i n a L i t w i e używano po kościołach katolickich w nabożeństwie „dodatkowem“ (przy udzielaniu Komunii św. i innych św. Sakramen-

tów, przy wystawieniu Najśw. Sakramentu) języka rosyjskiego. Że zaś Stolica Apostolska to pod dniem 11 czerwca 1877 roku wyraźnie zakazała, nie przyszło do obsadzenia odnośnych probostw. Teraz rząd rosyjski zgodził się na to, żeby w tem nabożeństwie dodatkowem używano mowy łacińskiej, jak Ojciec św. zalecił. Tym sposobem zatarg załatwiony. Rząd rosyjski odstąpił od swego dawnego rozporządzenia. Nie jest to atoli zmiana gruntowna, gdyż w nowym ukazie niema wzmianki żadnej o pieśniach polskich, o kazaniach, i nauce religii z dziećmi w polskim języku, ale miejmy w Bogu nadzieję, że i na to rząd z czasem pozwoli.

Walka o słowiańską liturgię. Stronnictwo radykalne prowadzi w Czechach i na Morawach silną agitacyę za tem, aby nabożeństwa kościelne i Msze św. były odprawiane nie w języku łacińskim, ale w języku słowiańskim, bo tak być miało w początkach, gdy Czesi i Morawianie przyjęli wiarę chrześcijańską.

Ułożono już w tym celu odpowiednie pismo, które w tym miesiącu ma być przedłożone Ojcu św.

ROZMAITOŚCI.

Słuszna odpowiedź. Pyta się *Związek chłopski,* dlaczego lud na Śląsku i pod Prusakiem ma się lepiej od naszego ludu, i odpowiada, że tamtejszy lud nie żałuje grosza na oświatę własną. Tam sobie chłop odmówi nieraz i tytoniu i szklanki piwa, a na gazetkę nie żałuje, bo wie, że gazetka przyniesie mu więcej niż piwo i tytoń.

Ma wielką racyę *Związek* w tej odpowiedzi, i myśmy także już nieraz to samo pisali, ale to groch o ścianę rzucany, bo nasz wieśniak woli dać zarobić żydowi niż się oświecać, niż wydać trochę grosza na gazetki. To też u nas oświata ludu idzie jak po grudzie, a tam na Śląsku i pod Prusakiem kroczy naprzód olbrzymim krokiem. Tam nawet najbiedniejszy wieśniak trzyma przynajmniej jednę gazetkę, a zamożniejsi prenumerują po trzy i cztery gazetki, a w każdym prawie domu znajdziesz oprócz tego spory zbiorek różnych książek pouczających.

Podobna skarga i żal. Nietylko my się żalimy, że dużo z naszych czytelników krzywdzi nas, bo pismo bierze, a nie płaci, ale tak samo się żali i skarży *Związek chłopski,* który podobnie jak my pracuje dla oświaty i dobra ludu. Widać, że nasi chłopi jeszcze zbyt ciemni, skoro nie umieją ocenić pracy dla nich podjętej, i zamiast wywdzięczać się pracownikom im oddanym, to oni ich jeszcze krzywdzą, a popierają natomiast tych, co ich bałamucą, schlebiają im, aby na ich barkach

wyjść w górę, a dla ludu nic dobrego nie zrobili dotąd, niczego pożytecznego go nie nauczyli.

Wszystko się nie podoba socyalistom, co tylko może przynieść jaką taką ulgę narodowi, bo ich hasłem: burzyć, niszczyć, aby na to miejsce nic nie postawić. Więc z okazyi pobytu cara w Warszawie rozrzucili tajny świstek, podburzający robotników w Królestwie i przeciw rządowi i carowi i przeciw reszcie społeczeństwa. Nasi ludowcy takie same mają zapatrywania jak socyaliści, bo *Kuryer lwowski* chwalił ową odezwę.

Kongres socyalistów z naszego kraju obywał się we Lwowie od 5 do 8 września. Czuć tam było bardzo cebulę, bo żydków było co niemiara i oni też rej wodzili. Miano na tym kongresie niby radzić nad losem biedaków, a tymczasem o tem mało co mówiono, natomiast zaś prowodyrzy i żydki rzucali obelgi na księży i na wszystkich, którzy nie są socyalistami.

Między innemi skarżyli się prowodyrzy, że mają mało dochodów z robotników i że trzeba walczyć w obronie żydów, a przeciw stronnictwu „chrześcijańsko-socyalnemu“, które na żydów uderza. Księdza Stojałowskiego nazwał jeden socyalista człowiekiem bez rozumu, z którym nie ma co paktować i łączyć się z nim.

Rozumie się samo przez się, że prawie wszystkie mowy pełne były karczemnych wyzwisk, bo inaczej zresztą być nie mogło i innych wyrażeń od socyalistów i żydów spodziewać się trudno.

Poseł Szajer, skazany przez sąd rzeszowski na 8 miesięcy więzienia wniósł rekurs przeciw temu wyrokowi, czyli zażalenie nieważności. Zażalenie jednak odrzucono i p. Szajer będzie musiał siedzieć w więzieniu, co pociągnie za sobą utratę poselstwa.

Zżydziały magistrat. Krakowski magistrat już całkiem oddał się na usługi żydom. Niedaleko kościoła OO. Bernardynów wybudował sobie pewien żyd hotel. Stały tam w bliskości wychodki do użytku publiczności. Otóż na żądanie owego żyda, czy podobnoś za opłatą, magistrat krakowski wychodki z przed hotelu żydowskiego usunął i zaczął je stawiać tuż koło kościoła OO. Bernardynów, niedaleko figury Matki Boskiej. Woli więc magistrat krakowski znieważać świątynię Pańską i obrażać uczucia chrześcijan spieszących do kościoła, niż narazić się żydowi. Fe, — wstyd! że tak się chrześcijanie wobec żydów poniżają.

Zaczyna się sprawdzać, cośmy już raz pisali, że nie długo czekać, a żydzi każą chrześcijanom zabierać sobie kościoły i wynosić się w świat, albo zamienią kościoły na bóżnice, a chrześcijan na swoich parobków.

W Krakowie, czcionkami drukarni Związkowej, pod zarządem A. Szyjewskiego.